

BUDOWA CHIŃSKIEGO MURU FRANZ KAFKA

Chiński Mur w punkcie najbardziej wysuniętym na północ jest już ukończony. Budowę prowadzono od strony południowo-zachodniej i południo-wschodniej i tutaj mur połączono. Ten system podziału na części był również podczas budowy stosowany w mniejszym zakresie przez obie wielkie armie robocze, armię wschodnią i zachodnią. Odbywało się to w ten sposób, że tworzone grupy, złożone mniej więcej z dwudziestu robotników, które miały za zadanie postawić odcinek muru długości około pięciuset metrów, jednocześnie zaś grupa sąsiednia, zmierzająca tamtej naprzeciw, budowała mur takiej samej długości. Kiedy jednak doszło do połączenia obu odcinków, wcale nie prowadzono dalszej budowy na następnym tysiącu metrów, lecz każdą grupę robotników przesuwano do dalszego stawiania muru w zupełnie inne okolice. Przy takim systemie powstały naturalnie w murze liczne poważne luki, które stopniowo i powoli wypełniano, chociaż niektóre z nich dopiero wówczas, gdy ukazało się już obwieszczenie o ukończeniu muru. Co więcej, istnieją podobno luki, których w ogóle nie zamurowano, jest to jednak twierdzenie należące być może do wielu legend, powstałych w związku z budową muru; człowiek sam na własne oczy i własną miarą wskutek olbrzymiej rozległości budowy w żadnym razie nie zdoła tego sprawdzić.

Oczywiście można by zrazu sądzić, że byłoby pod każdym względem korzystniej prowadzić budowę w sposób ciągły, albo przynajmniej każdą z dwóch głównych części stawiać jako całość. Mur przecież, jak powszechnie się głosi i jak wszystkim wiadomo, pomyślany został jako osłona przed ludami północy. Czy jednak mur, który nie stanowi zwartej całości, może chronić? Taki mur nie tylko nie chroni, lecz sam znajduje się w ciągłym niebezpieczeństwie. Odosobnione fragmenty muru w pustynnych okolicach z łatwością mogą być wciąż na nowo burzone przez koczowników, zwłaszcza że w tym właśnie czasie owe plemiona, przestraszone budową muru, z niepojętą szybkością – jak szarańcza przenosiły się z miejsca na miejsce i dlatego może orientowały się w całokształcie postępującej budowy lepiej od nas – budowniczych muru. Mimo wszystko jednak dzieło nie mogło chyba zostać inaczej niż w ten właśnie sposób wykonane. Żeby to zrozumieć, trzeba wziąć pod uwagę, że mur miał być naszą osłoną na czas długich stuleci; najstaranniej przeprowadzona budowa, wykorzystanie wiedzy wszystkich znanych epok i narodów w zakresie budownictwa, stałe poczucie osobistej odpowiedzialności budowniczych, należały do nieodzownych warunków wykonania tego dzieła. Przy mniej ważnych robotach można było zatrudnić niewykwalifikowanych robotników z ludu, pracujących na dniówki – mężczyzn, kobiety, dzieci, każdego, kto zgłosił się ze względu na niezły zarobek; ale już do kierowania czterema robotnikami konieczny był roztropny pracownik, zaprawiony w zawodzie murarskim, człowiek, który całym sercem potrafił wczuć się w zamierzenia budowniczych. Im zaś ważniejszą powierzano pracę, tym większe były wymagania. I rzeczywiście odpowiedni ludzie znaleźli się do dyspozycji, chociaż może nie w takiej masie, jaka przy tej budowie okazała się konieczna, ale mimo wszystko liczba ich była ogromna

Do realizacji dzieła nie przystąpiono w sposób lekkomyślny. Na pięćdziesiąt lat przed rozpoczęciem budowy ogłoszono w całym Chinach, które postanowiono otoczyć murem, sztukę budowlaną, a zwłaszcza rzemiosło murarskie za najważniejszą dziedzinę wiedzy, a wszystkie inne sprawy uznawano tylko w tej mierze, w jakiej łączyły się one z budownictwem. Przypominam sobie dokładnie, że jako małe dzieci, jeszcze niezbyt pewnie stojące na nogach, gromadziliśmy się w ogródku naszego nauczyciela i musieliśmy budować z kamyków coś w rodzaju muru, po czym nauczyciel, podkasawszy swe szaty, w biegu rzucał się na ten mur i oczywiście wszystko rozwalął, a nam tak ostro wypominał nieudolność

budowy, że zanosząc się od płaczu rozbiegaliśmy się na wszystkie strony i wracaliśmy do rodziców. Drobnym to szczegółem, ale znamienne dla ducha owych czasów.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, rozpoczęto budowę muru, właśnie kiedy zdałem ostatni egzamin w najniższej szkole. Mówię o szczęściu, ponieważ wielu ludzi, którzy wcześniej osiągnęli szczyty dostępnego im wykształcenia, przez długie lata nie wiedziało, co począć ze swoją wiedzą i marząc o najwspanialszych budowlach tułało się z miejsca na miejsce, nie przynosząc nikomu pożytku, i całe ich masy staczały się na dno nędzy. Ci jednak, którzy wreszcie znaleźli się przy budowie, chociażby jako najniżsi rangą kierownicy prac, rzeczywiście okazali się godni tego zaszczytu. Byli to murarze, którzy wiele myśleli o swym dziele i nie przestawali się nad nim zastanawiać, czuli się bowiem zrośnięci z budową od chwili, gdy położyli pierwszy kamień pod fundamenty

Murarzy tych ożywiała naturalnie nie tylko chęć jak najrzetelniejszego wykonania pracy, lecz również niecierpliwość, z jaką pragnęli wreszcie ujrzeć skończone dzieło w całej jego doskonałości. Nie zna tej niecierpliwości najemny robotnik, ten goni tylko za zarobkiem, natomiast wyżsi, a nawet średniej rangi kierownicy widzą tyle szczegółów postępującej budowy, że już to samo podnosi ich na duchu. Ale o niższych pracownikach, umyślowo przerastających postawione im, małe na pozór zadania, trzeba było zatroszczyć się w inny sposób. Trudno było na przykład nakazać im przez całe miesiące, a nawet lata, stawiać kamień na kamieniu w jakiejś nie zamieszkannej, pustynnej okolicy, o setki mil od ich stron rodzinnych; beznadziejność takiej wyteżonej pracy, nie wiodącej do celu nawet na przestrzeni długiego życia ludzkiego, wtrąciłaby ich w rozpacz, a przede wszystkim zmniejszyłaby ich wydajność

Dlatego zdecydowano się na wieloczęściowy system budowy. Pięćset metrów muru można było zbudować w czasie pięciu mniej więcej lat; potem kierownicy raczej byli już nazbyt wyczerpani, tracili całe zaufanie do siebie, do swego dzieła i do świata. Dlatego, dopóki jeszcze żyli podniosłymi nastrojami, wywołanymi uroczystością połączenia muru, przenoszono ich w dalekie, bardzo dalekie strony; w czasie podróży oglądali tu i ówdzie wznoszące się już gotowe kompleksy murów, przejeżdżali obok kwater wyższych kierowników, którzy wręczali im odznaczenia honorowe, słyszeli radosne okrzyki nowych armii roboczych, przybyłych z głębi kraju, widzieli, jak wycinano całe lasy przeznaczone na budowę rusztowań, widzieli, jak rozbijano góry na pojedyncze bloki kamienne, wysłuchiwali w świętych miejscach śpiewów pobożnych ludzi, którzy modlili się o ukończenie dzieła.

To wszystko uśmierzało ich niecierpliwość. Spokojne życie, panujące w ich stronach rodzinnych, w których przez pewien czas przebywali, dodawało im sił, a poważanie, jakim cieszyli się wszyscy pracownicy budowlani, pokorna wiara, z jaką słuchano ich opowieści, nadzieje, jakie prosty, cichy obywatel łączył z przyszłym ukończeniem muru, to wszystko budziło nowy entuzjazm. Jak wiecznie ufne dzieci żegnali się wówczas z rodzinnymi stronami, opanowywała ich nieprzeparta chęć dalszej pracy przy dziele narodowym. Wyjeżdżali z domu wcześniej, niż to było konieczne, połowa mieszkańców odprowadzała ich daleko poza granice wioski. Na wszystkich drogach oddziały robotników, flagi, sztandary – nigdy dotychczas nie widzieli, że tak wielka, bogata, piękna i godna miłości jest ich kraina. Każdy rodak był bratem, dla którego stawiało się mur obronny, bratem, który wraz z wszystkim, co posiadał i czym był, przez całe swe życie pozostawał im wdzięczny za ich pracę. Jedność! Jedność! Pierś przy piersi, wspólny marsz całego narodu, krew, już nie uwięziona w ciasnym układzie krążenia, lecz błogo płynąca i ciągle powracająca poprzez nieskończone Chiny.

Dzięki temu właśnie staje się zrozumiały system budowania muru odcinkami; istnieją jednakże dalsze jeszcze przyczyny. Nic też nadzwyczajnego, że tak długo zatrzymuję się przy tej sprawie; jest ona centralną ideą całej budowy muru, chociaż zrazu mogłaby się wydawać mało istotna. Ale nie można nigdy dosyć głęboko wnikać właśnie w tę kwestię, jeśli się zamierza przekazać myśli i przeżycia swej epoki.

Przed wszystkim trzeba sobie jednak powiedzieć, że dokonano wówczas dzieł, które niewiele ustępują budowie Wieży Babilońskiej, lecz jeśli chodzi o zbożność celu, przynajmniej zgodnie z ludzkimi zamiarami, stanowią one właśnie przeciwieństwo tamtej budowy. Wspominam o tym, ponieważ w czasach, gdy zaczynało stawiać mur, pewien uczonek napisał książkę, w której ukazał bardzo dokładnie powyższe analogie. Starał się tym sposobem udowodnić, że budowa Wieży Babilońskiej nie doszła do skutku wcale nie z głoszonych powszechnie powodów albo że przynajmniej wśród tych znanych przyczyn nie wymienia się najważniejszych. Jego materiały dowodowe składały się nie tylko z rozpraw i sprawozdań, ale – jak twierdził – przeprowadził nawet na miejscu badania i wykrył, że budowa spełzła i musiała spełznąć na niczym na skutek słabości fundamentów. Oczywiście pod tym względem nasze czasy ogromnie przewyższają tamtą zamierzoną epokę. Prawie każdy wykształcony współczesny człowiek jest z zawodu murarzem, nieomylnym w kwestiach dotyczących zakładania fundamentów.

Lecz ów uczonek nie zamierzał wcale na tym poprzestać, ponadto bowiem stwierdzał, że nasz Wielki Mur stanowić będzie po raz pierwszy w dziejach ludzkości bezpieczny fundament pod budowę nowej Wieży Babilońskiej. A więc w pierw mur, a następnie wieża. Książka była wówczas przez wszystkich rozchwytywana, ale wyznam, że jeszcze dzisiaj niezupełnie rozumiem, jak ów uczonek wyobrażał sobie budowę takiej wieży.

W jaki sposób mur, który nie tworzył nawet zamkniętego kręgu, tylko pewnego rodzaju wycinek koła lub półkole, miał stać się fundamentem wieży? Mogło to przecież być tylko rozumiane w sensie symbolicznym. Ale do czego by służył wówczas mur, który był czymś rzeczywistym, dziełem trudu i życia setek tysięcy ludzi? I po co w owej książce nakreślono plany wieży, co prawda bardzo mgliste, po co przedstawiono szczegółowe propozycje zjednoczenia sił narodu przy tym potężnym, nowym dziele?

Wiele w owym czasie – ta książka stanowi tylko jeden z przykładów – było zamętu myślowego, być może z tego właśnie powodu, że tak liczne rzesze usiłowały w miarę możliwości na tym jednym zadaniu skupić całą swoją uwagę. Istota ludzka, w gruncie rzeczy lekkomyślna, z natury podobna do unoszącego się w powietrzu pyłu, nie znosi żadnego skrepowania; nawet gdy sama sobie nałoży pęta, wkrótce jak szalona zaczyna szarpać swe więzy i wreszcie mur, łańcuch oraz samą siebie rozerwie na strzępy. Możliwe, że i takie poglądy, stojące nawet w sprzeczności z ideą postawienia muru, uwzględnione zostały przez kierownictwo przy decydowaniu się na etapową budowę. My – mówię tutaj w imieniu wielu ludzi – poznawaliśmy właściwie dopiero samych siebie powtarzając literę po literze rozporządzenia władz naczelnych i dochodziliśmy do wniosku, że gdyby nie nasze kierownictwo, to ani wiedza wyniesiona ze szkoły, ani nasz ludzki rozsądek nie wystarczyłyby nawet do wykonania drobnych zadań, które nam powierzono w ramach tej wielkiej całości. W pomieszczeniu, w którym urzędowało naczelne kierownictwo – gdzie zaś ono się znajdowało i kto w nim zasiadał, nie wiedział i nie wie nikt, kogo o to pytałem – w tym pomieszczeniu krążyły chyba wszystkie ludzkie myśli i pragnienia oraz dla przeciwwagi również wszystkie ludzkie losy i spełnione nadzieje. A na dłonie kreślących plany kierowników padał przez okno odblask boskich światów.

I dlatego niełatwo bezstronnemu obserwatorowi pojąć, że kierownictwo – gdyby naprawdę tego chciało – nie umiało przewyciężyć również wszelkich trudności stojących na przeszkodzie jednolitej budowie muru. Pozostaje więc tylko wniosek, że zwierzchnictwo z góry zamierzało stawiać mur małymi odcinkami. Ale budowanie odcinkami było jedynie środkiem zastępczym, chybiającym ponadto celu. Z tego wynika, że kierownictwo chciało czegoś, co nie miało sensu. – Dziwaczny wniosek! – Oczywiście, ale również z innych powodów jest on usprawiedliwiony. Dzisiaj można już chyba o tym mówić, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Wówczas bowiem ukrywaną skrzętnie zasadą wielu, nawet najwartościowszych ludzi, było: próbuj, jak tylko możesz, zgłębić zarządzenia zwierzchników, ale tylko do pewnej granicy, potem przestań się zastanawiać. Bardzo rozsądna zasada, która została zresztą jeszcze szerzej wyjaśniona w powtarzanej często później przypowieści: Nie dlatego, żeby ci to miało zaszkodzić, powinieneś zrezygnować z dalszego wyciągania wniosków, nie jest bowiem wcale rzeczą pewną, czy ci to zaszkodzi. Nie można tu w ogóle mówić o szkodliwości i nieszkodliwości. Po prostu stanie się z tobą to samo, co z rzeką na wiosnę. Rzeką wzbiera, rośnie w potęgę, lepiej użyźnia ziemię nad swoimi rozległymi brzegami, przedłuża swe trwanie i bieg ku morzu i jest doń podobniejsza i wspanialsza. – Tak dalece zastanawiaj się nad zarządzeniami kierownictwa. Potem jednak rzeka występuje z brzegów, traci zarysy i kształty, płynie ku swemu ujściu wolniej, usiłuje wbrew przeznaczeniu stworzyć małe morze śródlądowe, szkodzi uprawnym polom, a przecież nie może na stałe zachować takich rozmiarów, lecz znowu spływa w dawne łożysko i nawet żałośnie wysycha podczas następnej, gorącej pory roku. – Tak dalece nie zastanawiaj się nad zarządzeniami kierownictwa.

Przypowieść ta mogła oczywiście być nader trafna w okresie budowy muru, dla mojej dzisiejszej relacji posiada ona jednak znaczenie co najmniej ograniczone. Moje dociekania mają wszakże tylko ważność historyczną, z rozwianych dawno obłoków żaden grom już nie spadnie i dlatego mogę szukać dla budowy muru odcinkami wyjaśnienia, sięgającego głębiej niż wszystko, czym się niegdyś próbowano zadowolić. Granice wyznaczone mi przez moją inteligencję są i tak dosyć ciasne, obszary zaś, które muszę przebyć – niezmierzone.

Przed kim miał nas Wielki Mur chronić? Przed plemionami północy. Pochodzę z południowo-wschodnich Chin. Żadne plemię z północy nie może nam tutaj zagrozić. Czytamy o nich w starożytnych księgach; okrucieństwa, które ludy te zgodnie ze swą naturą popełniają, dobędą nam czasem z piersi westchnienie w cichej altanie. Na trafnie odmalowanych obrazach artystów oglądamy te twarze potępieńców, szeroko rozwarte pyski, szczęki najeżone ostrymi długimi zębami, przebiegle zmrużone oczy, jak gdyby już z ukosa wypatrujące łupu, który zmiażdżą i rozerwą w swych paszczach. Gdy dzieci bywają niegrzeczne, pokazujemy im te obrazki i dziatwa z płaczem tuli się zaraz do naszej piersi. Ale nic więcej o tych północnych ludach nie wiemy. Nie widzieliśmy ich nigdy i jeśli pozostaniemy w naszej wiosce, nigdy ich nie ujrzymy, nawet gdyby na dzikich koniach zechcieli pędzić na oślep prosto w nasze okolice – zbyt wielki jest kraj, żeby mógł ich aż do nas przepuścić, zabłąkają się w pustce bez końca.

Jeśli więc tak się rzeczy mają, dlaczego porzucamy ojczyste strony, naszą rzekę i mosty, matkę i ojca, płaczącą żonę, dzieci, które powinny się uczyć, i sami odjeżdżamy do szkoły w odległym mieście, a myślą wybiegamy jeszcze dalej na północ, do budowy muru? Dlaczego? – Spytaj kierowników. Oni nas znają. Oni, którzy martwią się o najważniejsze sprawy, wiedzą o nas wszystko, znają nasze drobne zajęcia, widzą, jak wspólnie siedzimy pod niską strzechą, a modlitwa, którą ojciec rodziny odmawia w kręgu swych najbliższych, podoba się im albo się nie podoba. I, jeśli wolno mi w ten sposób myśleć o kierownictwie, chciałbym powiedzieć, że

moim zdaniem kierownictwo istniało już wcześniej i wcale nie pojawiło się tak, jak na przykład najwyżsi mandaryni, którzy nabrawszy pod wpływem pięknego porannego snu ochoty do działania, w pośpiechu zwołują posiedzenie, jak najspieszniej podejmują decyzję i wieczorem wśród bicia bębnow zmuszają mieszkańców do zrywania się z łóżek, każąc im wykonać zarządzenie, chociażby chodziło jedynie o zorganizowanie iluminacji ku czci jakiegoś bóstwa, które wczoraj okazało się dla panów przychylne, mimo że już nazajutrz, zaledwie wygasną lampiony, ćwiczą tych ludzi w jakimś ciemnym zaułku. Tymczasem nasze kierownictwo istniało już chyba z dawien dawna, tak samo zaś było z postanowieniem budowy muru. A niewinne i plemiona z północy wierzyły, że właśnie one to spowodowały, a czcigodny, nieświadomy niczego cesarz sądził również, że on wydał takie zarządzenie. My, którzy stawialiśmy mur, wiemy, że było inaczej, i milczymy.

Już wówczas w okresie budowy muru i później – aż do dzisiejszego dnia zajmowałem się niemal wyłącznie etnologią porównawczą – albowiem istnieją określone zagadnienia, których tajniki zgłębić można w jakiejś mierze tylko przy pomocy tej nauki – i przy tym stwierdziłem, że my, Chińczycy, posiadamy niektóre instytucje narodowe i państwowe odznaczające się jedyną w swoim rodzaju prostotą, inne zaś są wyjątkowo niezrozumiałe. Zawsze mnie korciło i jeszcze dzisiaj korci mnie zbadanie przyczyn takiego stanu rzeczy, zwłaszcza zaś tego drugiego zjawiska, gdyż powyższe kwestie dotyczą w znacznej mierze również budowy muru.

Tak więc do najbardziej niezrozumiałych naszych instytucji należy przede wszystkim władza cesarska. Oczywiście, zwłaszcza koła dworskie w Pekinie mają w tych sprawach pewne rozeznanie, chociaż jest ono raczej pozorne niż rzeczywiste. Także profesorowie prawa państwowego i historii udają tylko, że są w tych sprawach dobrze zorientowani i że mogą swoją wiedzę przekazać studentom. Łatwo zrozumieć, że im niżej schodzi się do szkół podstawowych, tym bardziej zanikają wątpliwości dotyczące znajomości zagadnienia i połowiczna wiedza zalewa na wysokość szczytów górskich nieliczne, od wieków wykute formułki, które wprawdzie nic nie straciły ze swej odwiecznej oczywistości, lecz w tych oparach mgły pozostaną niezrozumiane na wieki.

Ale o instytucję cesarstwa trzeba by moim zdaniem pytać właśnie lud, ponieważ on jest ostatnią podporą cesarza. Co prawda mogę tu mówić jedynie o moich stronach rodzinnych. Jeśli pominąć bóstwa pól uprawnych i odbywające się przez cały rok ku ich czci tak bardzo urozmaicone i piękne nabożeństwa – wszystkie nasze myśli kierujemy ku cesarzowi. Nie ku obecnie panującemu jednakże albo raczej – kierowalibyśmy myśli ku niemu, gdybyśmy go znali lub mieli o nim jakieś dokładne wiadomości. Wprawdzie zawsze staraliśmy się gorliwie czegoś z tej dziedziny dowiedzieć – tego jednego byliśmy ciekawi – ale – choć brzmi to dziwnie, nie mogliśmy uzyskać niemal żadnych dokładnych danych ani od pielgrzyma, który przecież wędruje przez liczne krainy, ani od mieszkańców bliskich lub odległych wiosek, ani od marynarzy, którzy żeglują nie tylko po naszych rzeczkach, ale i po świętych rzekach. Wiele się wprawdzie słyszało, z tej wielości wszakże nie można było nic ścisłego wyłowić.

Kraj nasz jest tak wielki – żadna baśń nie odtworzy jego ogromu, wystarczy dlań zaledwie sklepienia niebios – ale Pekin jest tylko jednym małym punktem, a cesarski pałac co najwyżej drobnym punkcikiem. Natomiast wielkość cesarza sama w sobie sięga ponad wszystkie piętra świata. Żywy cesarz, człowiek do nas podobny, tak jak my wypoczywa w łóżku, które jest chyba dość obszerne, ale któż wie, może nawet bywa niekiedy zbyt wąskie i krótkie. Podobnie jak my cesarz prostuje czasem kończyny, a gdy jest bardzo zmęczony, ziewa zarysowanymi delikatnie ustami. Ale jak mamy się o tym dowiedzieć my, ludzie z południa,

oddaleni o tysiące mil – bo przecież graniczymy już prawie z wyżyną Tybetu. Ponadto zaś każda wieść, nawet gdyby do nas dotarła, nadeszłaby zbyt późno i od dawna byłaby już przestarzała. Wokół cesarza tłoczy się błyszczący, a jednak mroczny tłum dworaków – złośliwość i wrogość przebrana w szaty służby i przyjaciół – przeciwwaga cesarstwa, zawsze gotowych zatrutymi strzałami zestrzelić cesarza z chwiejącej się szali tronu. Instytucja cesarstwa jest nieśmiertelna, ale poszczególni cesarze upadają, tracą władzę, nadchodzi nawet zmierzch całych dynastii i oddech ich kończy się jednym krótkim rżeniem. O tych walkach i cierpieniach naród nigdy się nie dowie; jak zapóźnieni, obcy w mieście przybysze stoją wszyscy u końca ciasno zatłoczonej i bocznej uliczki, spokojnie spożywając zapasy zabrane na drogę, podczas gdy na rynku w śródmieściu, z dala od nich, odbywa się egzekucja ich pana.

Istnieje podanie, które doskonale wyraża te wzajemne stosunki. Cesarz – głosi podanie – tobie, prostemu człowiekowi, nędznemu swemu poddanemu, cieniowi, który przed słońcem cesarskim skrył się w najdalszej dali, tobie właśnie z łoża śmierci pragnie ów cesarz przesłać ważną nowinę. Gońcowi kazał klęknąć obok łożka i szeptem przekazał mu tę wiadomość; tak bardzo mu na niej zależało, że kazał ją sobie jeszcze powtórzyć na ucho.

Skinieniem głowy potwierdził, że goniec dokładnie go zrozumiał. I wobec wszystkich świadków swojej śmierci – albowiem wielkie zawadzające ściany zostały zburzone i na wznoszących się daleko w górę tarasach stoją kołem magnaci całego kraju – wobec tych wszystkich ludzi odprawił posła. Goniec wyruszył natychmiast – silny niezmordowany człowiek toruje sobie drogę przez ciżbę, wysuwając przed siebie raz to, raz tamto ramię, jeśli spotyka się z oporem, wskazuje na swą pierś, gdzie widnieje znak słońca; toteż łatwiej od innych przepycha się naprzód.

Ale tłumy są tak liczne; mieszkania tych ludzi ciągną się bez końca. Gdyby otwarła się przed nim wolna przestrzeń, jakże raźnie pomknąłby przed siebie i chyba wkrótce usłyszałby już u swoich drzwi radosne uderzenia jego pięści. Lecz jakże bezskutecznie musi się trudzić; wciąż jeszcze usiłuje precyzyjnie się przez komnaty centralnego pałacu; nigdy tędy nie przejdzie, a gdyby mu się to nawet udało, jeszcze by nic nie zyskał; trzeba by przebyć nowe dziedzińce, po dziedzińcach zaś drugi, okalające pałac; i znowu schody i place; i jeszcze jeden pałac; i tak ciągle przez tysiąclecia; a jeśli by wreszcie wy dostał się za ostatnią bramę – ale nigdy, przenigdy to się nie stanie – rozciągnie się dopiero przed nim stolica, środek świata, cała zasypana własnymi odpadkami. Nikt tamtędy nie przebrnie, zwłaszcza zaś z poselstwem od zmarłego. – Ty zaś siedzisz przy oknie i próbujesz je sobie wymarzyć, kiedy zbliża się wieczór.

W ten właśnie sposób taką beznadziejność i taką pełnię nadziei wiąże lud z wyobrażeniami o cesarzu. Nikt nie wie, jaki cesarz obecnie rządzi i nawet co do nazwy dynastii istnieją wątpliwości. W szkole naucza się po kolei wielu szczegółów, ale ogólna niewiedza w tych sprawach jest tak wielka, że ogarnia ona nawet najlepszego ucznia. Na tronie stawia się u nas nie żyjących od dawna cesarzy, a ten, który już tylko żyje w pieśni, właśnie w ostatnim czasie wydał rozporządzenie, odczytywane przez kapłana przed ołtarzem. Dopiero teraz stacza się bitwy, które odbyły się w dawnych wiekach, i z rozgorączkowaną twarzą wpada sąsiad do twego domu, przynosząc ci wiadomość o tym wydarzeniu. Wciąż na nowo popełniają swe zbrodnie żony cesarza wylegające się w sytości na jedwabnych poduszkach, sprowadzane przez chytrych dworaków z zacnej drogi cnoty, pałające żądzą władzy, ogarnięte chciwością, pławiące się w rozkoszach. Im więcej czasu przeminęło, tym jaskrawiej rozbłyskują

wszystkie barwy i z głośnym okrzykiem żalości nagle nasza wieś dowiaduje się, że pewna królowa sprzed tysiącleci długimi haustami spijała krew własnego małżonka.

Tak oto postępuje lud z dawnymi władcami, a z kolei obecnie panujących myli z umarłymi. Jeśli kiedykolwiek na przestrzeni całego ludzkiego żywota zjawi się przypadkiem w naszej wiosce cesarski urzędnik, który odbywa objazdy prowincji i w imieniu panującego wysuwa pewne żądania, sprawdza spisy podatkowe, wizytuje lekcje w szkole, wypytuje się kapłana o nasze myśli i uczynki, i potem, zanim zasiądzie w swej lektyce podsumowuje to wszystko w rozwlekłych napomnieniach skierowanych do spędzonych w tym celu mieszkańców gminy, wówczas uśmiech zdziwienia występuje na wszystkich twarzach, jeden spogląda ukradkiem na drugiego i schyla się ku swym dzieciom, ażeby go urzędnik nie mógł obserwować. Jakże to, myśli sobie każdy z nich, o umarłym mówi jak o żywym; ten cesarz już przecież dawno odszedł ze świata, dynastia wygasła, pan urzędnik kpi sobie z nas, ale będziemy udawali, żeśmy tego nie zauważyli, aby go nie obrazić. Naprawdę jednak będziemy posłuszni tylko rozkazom naszego obecnego pana, inaczej dopuścilibyśmy się grzechu. I gdy tylko oddali się lektyka urzędnika, jakiś samowolnie wyniesiony na tron cesarz wydobywa się ze zmurszałej urny i mocno staje na nogach jako pan naszej wioski.

Podobnie też przewroty państwowe oraz współczesne wojny z reguły niewiele tylko obchodzą tutejszych ludzi. Przypomina mi się właśnie pewne zdarzenie z czasów mej młodości. W sąsiedniej, lecz bądź co bądź znacznie oddalonej od nas prowincji wybuchło powstanie. Nie pamiętam już jego przyczyn, zresztą nie są one dla nas ważne. Każdego poranka nasuwa się tam dosyć powodów do wszczęcia powstania, lud jest w tych stronach niespokojny. Otóż pewnego razu jakiś żebrak, który wędrował po tej prowincji, przyniósł do domu mojego ojca ulotkę wydaną przez powstańców. Obchodziliśmy właśnie święto, nasze izby pełne były gości, pośrodku siedział kapłan, odczytujący ulotkę. Nagle wszyscy wybuchnęli śmiechem, w tłoku podarto kartkę, żebrak, którego wprawdzie już sownie obdarowano, został wypchnięty kulakami z pokoju. Wszyscy się rozeszli. Dlaczego? Otóż dialekt sąsiedniej prowincji różni się poważnie od naszego narzecza, co wyraża się też w pewnych formach języka pisanego, które dla nas mają charakter archaiczny. Ledwie więc kapłan odczytał dwie strony, wszystko było wiadome. Przecież to stare dzieje, o których dawno słyszano, które się już dawno przeboleało. I chociaż, jak sobie przypominam, ustami tego żebraka przemawiała do nas nieodparcie groźna prawda życiowa, ze śmiechem kiwano głowami i nie chciano o tym słyszeć. Tak łatwo wymazuje się u nas terażniejszość.

Jeśliby ktoś na podstawie tych zjawisk doszedł do wniosku, że w rzeczywistości nie mamy żadnego cesarza, nie mijałby się zbytnio z prawdą. Powtarzam: nie istnieje chyba lud bardziej do cesarza przywiązany niż my, mieszkańcy południa, ale to przywiązanie na nic się nie zda cesarzowi. Co prawda z kolumienki u skraju wioski święty smok swój dech ognisty hołdowniczo kieruje dokładnie w kierunku Pekinu, ale Pekin jest dla ludzi ze wsi czymś bardziej odległym niż życie pozagrobowe. Czyżby doprawdy istniała taka wieś, w której dom stoi przy domu, zakrywając wszystkie pola, dalej niż można sięgnąć wzrokiem z naszego wzgórze i gdzie między tymi domami stoją we dnie i w nocy ludzie – głowa przy głowie? Łatwiej, niż wyobrazić sobie takie miasto, moglibyśmy uwierzyć, że Pekin i tamtejszy cesarz stanowią jedność, coś w rodzaju chmury, zmieniającej spokojnie, pod słońcem swoje kształty na przestrzeni dziejów.

Następstwem takich poglądów jest oczywiście swobodny, nieskrępowany tryb życia. W żadnym razie nie pozbawiony jednak więzów moralnych – bo takiej czystości obyczajów jak w mej ojczyźnie nie spotkałem prawie nigdzie w swych podróżach. – Ale jest to jednak tryb

życia niepodporządkowany żadnemu dzisiejszemu prawu, uznający jedynie nauki i przestrogi, przekazane nam przez tradycje dawno minionych czasów.

Wystrzegam się uogólnień i nie twierdzę, że w ten sam sposób układają się stosunki we wszystkich dziesięciu tysiącach wsi naszej prowincji, czy nawet w pięciuset chińskich prowincjach. Ale na podstawie wielu dzieł z tej dziedziny, które przeczytałem, jak również opierając się na własnych spostrzeżeniach – zwłaszcza przy budowie muru materiału ludzki umożliwił wrażliwemu człowiekowi wędrówkę przez dusze mieszkańców wszystkich niemal prowincji – a więc w oparciu o to wszystko mogę chyba powiedzieć, że pogląd panujący na temat władzy cesarza zawsze i wszędzie zachowuje pewien rys zasadniczy, wspólny z poglądami rozpowszechnionymi w moich ojczystych stronach. Nie pragnę oczywiście przedstawić tych pojęć w dodatnim świetle, wprost przeciwnie. Co prawda powstały one głównie z winy rządzących, którzy do dzisiejszego dnia w najstarszym państwie świata albo je zaniedbali dla spraw innych, albo też nie umieli ukształtować instytucji cesarstwa jako wartości tak oczywistej, ażeby bezpośrednio i bez przerwy promieniowała ona aż po najdalsze granice kraju. Ale z drugiej strony na dnie tego zjawiska leży też brak wyobraźni lub silnej wiary w narodzi, który nie zdobył się na to, ażeby cesarza wyrwać z samotni w Pekinie i przycisnąć go żywego i współczesnego do swej wiernopoddańczej piersi, która przecież pragnie tylko poczuć ten uścisk i w nim roztopić się na wieki.

Nasze poglądy nie są więc chyba zbyt chwalebne. Każdego tym bardziej musi zdumiewać, że właśnie owa słabość jest – jak się okazuje – jedną z najważniejszych sił jednoczących naród; co więcej, jeśli można tu użyć tak śmiałego określenia – jest po prostu gruntem, na którym żyjemy. Gdyby więc ową ujemną ocenę szczegółowo uzasadnić, nie byłaby to próba wstrząśnięcia sumieniami, ale – znacznie gorzej – usunięcie gruntu spod naszych stóp. I dlatego na razie nie mam zamiaru posunąć się dalej w rozważaniach nad tym zagadnieniem.

Z niemieckiego przełożył Alfred Kowalkowski